

WSZECHŚWIATOWI JESTEŚMY DOSKONALE OBOJĘTNI

Z dr. hab. Krzysztofem Świerkoszem, biologiem z Uniwersytetu Wrocławskiego, o szóstym wymieraniu, załamywaniu filarów, na których opiera się nasze bezpieczeństwo, pogrzebie przyszłości, mentalnym paleolicie, w którym żyje większość ludzi, i o tym, czy warto dać człowiekowi szansę przetrwania
rozmawia Hanna Schudy

Hanna Schudy: *Cóż tam, panie, w przyrodzie? Gatunki trzymają się mocno?*

Krzysztof Świerkosz: Zależy które gatunki i zależy gdzie. Dobrze, wręcz świetnie mają się na przykład gatunki inwazyjne i towarzyszące człowiekowi, tzw. synantropijne. Zwykle zakładamy, apriorycznie, że stan dzisiejszy jest stanem optymalnym, bądź też pożądanym, że jest swego rodzaju punktem wyjścia. Myślimy, że mamy obowiązek wręcz etyczny, aby zachować obecny stan gatunków, aby zachować stabilność ekosystemu. To są podstawy ochrony przyrody, na tym się opiera cała biologia konserwatorska. Tylko że my zaczęliśmy degradować ekosystem świata już ponad 40 tys. lat p.n.e., a wszystko zaczęło się od wymierania megafauny w Australii. Te gatunki, które znamy dziś jako rodzime z Australii i wydają nam się osią całego ekosystemu, są tylko nikłą pozostałością wielkiego wymierania, które rozpoczęło się już wtedy.

– Już tamto wymieranie miało charakter antropogeniczny...

– Jak najbardziej, ponieważ różnorodność biologiczna, którą znamy z wykopalisk, już nigdy potem się nie odtworzyła ze względu na pojawienie się nowych, agresywnych drapież-



Krzysztof Świerkosz: – I co? Cała Ziemia ma paść przed nami na kolana, bo sami przyznaliśmy sobie miano szczytowego osiągnięcia ewolucji? Dla biologa koroną stworzenia mogą być równie dobrze bakterie, grzyby lub niesporczaki – organizmy, przy których historii my jesteśmy tylko ewolucyjnymi odeskami! Fot. Archiwum K. Świerkosza

ników – człowieka, a później także psa dingo. Podobny przebieg wydarzeń miał miejsce wszędzie, gdzie w pewnym momencie pojawił się człowiek wraz z gatunkami, które ze sobą sprowadził, lub też jego populacja gwałtownie wzrosła, np. dzięki opanowaniu rolnictwa.

W Ameryce Południowej, na Madagaskarze czy na Nowej Zelandii odkrywamy całe zespoły megafauny, która masowo i szybko wymierała po tym, jak w danym miejscu pojawiał się człowiek. Czy było to 12 tys. lat p.n.e. czy rok 1300 naszej ery, przebieg wymierania był identyczny.

– *Czyli to szóste wymieranie, o którym czytamy w raporcie IPBES z początku maja 2019 miało miejsce już w czasach Sokratesa?*

– Zaczęło się około 45–42 tys. lat temu w Australii. W porównaniu z czasami dzisiejszymi mówimy jednak o wymieraniu megafauny, czyli dużych zwierząt. Wymarły na przykład w całości co najmniej cztery całe rodzaje słońcowatych. Słonie, które dzisiaj znamy, czyli leśny, indyjski i afrykański to pozostałości po wielkim zespole faunistycznym, który kształtował jeszcze niedawno krajobrazy na całej Ziemi. A to tylko wierzchołek góry lodowej.

– *A czym się różni ten dzisiejszy etap wymierania od tego sprzed naszej ery?*

– Wcześniejsze wymierania, na ile możemy je udokumentować, obejmowały dziesiątki, co najwyżej setki gatunków na tysiąclecie. Teraz następuje akceleracja tego procesu i ten milion zagrożonych roślin i zwierząt, o których mowa w raporcie, ten ogrom gatunków z dużym prawdopodobieństwem wymrze w ciągu kolejnych kilku dekad! No chyba że staniemy na wysokości zadania i podejmiemy odpowiednie działania.

– *W tym momencie trzeba zatem zapytać: „Cóż tam, panie, w polityce?”. Czy temat wymierania gatunków jest w ogóle na agendzie politycznej? Albo inaczej – czy po publikacji majowego raportu o wymieraniu IPBES pojawił się w Instytucie Zoologii we Wrocławiu albo w Instytucie Botaniki politycy czy dziennikarze pragnący zrozumieć, co ten raport oznacza dla Wrocławia?*

– Nie, oczywiście, że nie.

– *Oczywiście, że nie? Nie korzystają z waszej obecności w mieście?*

– *(śmiech)* Zdążyłem się już przyzwyczaić, że głos naukowców jest lekceważony. Przynajmniej od czterdziestu lat, kiedy mówimy o kryzysie biosfery. Zaczęło się od krytykowania Jamesa Hansena, dyrektora NASA Goddard Institute for Space Studies, który pisał już w latach osiemdziesiątych XX wieku o zmianach klimatu i zwracał uwagę na emisję gazów cieplarnianych. Na jego karierę składa się nie tylko entuzjazm uczonego, ale też zmasowana krytyka jego badań przez innych naukowców, głównie – jak się potem okazało – związanych z branżą

paliw kopalnych. Hansen wypowiadał się też krytycznie w kwestii technologicznego panaceum na problem zmian klimatu. Już wtedy ostrzegał, że okradamy nasze dzieci z przyszłości. Ale jakoś nie udało mu się nikogo specjalnie przekonać. W końcu odszedł z NASA i działa dzisiaj jako niezależny naukowiec, cały czas ostrzegając i publikując nowe prace. Warto dodać, że jego prognozy są dużo mniej optymistyczne niż te, które przedstawił raport IPCC Międzypaństwowego Zespołu ds. Zmian Klimatu, a te, które stawił do tej pory – sprawdzały się. Wiele osób ma świadomość, że w raporcie IPCC daje nadzieję głównie po to, aby zachęcić ludzi do działania, ale nie mówi całej prawdy.

– *Raport IPCC nie bierze też pod uwagę sprzężeń zwrotnych oraz zakłada, że w międzyczasie pojawi się jakaś supertechnologia, dzisiaj znana jedynie na papierze czy z badań laboratoryjnych, która obiecuje pochłanianie olbrzymich ilości CO₂. Nikt jednak nie wie, kiedy, gdzie i za jaką cenę taka technologia będzie w ogóle możliwa, chociaż biorąc pod uwagę powierzchnię Ziemi, jaką musiałaby pokryć, wydaje się ona raczej nie-realną wizją technologicznych fantastów.*

– Zakłada też udział geoinżynierii, np. rozpylania siarki w stratosferze, która miałaby zmniejszyć temperaturę na powierzchni ziemi, konstruowanie „sztucznych drzew” i inne szalone, za to bardzo kosztowne pomysły.

– *Widać, że uczeni jednak się przydają. A może mamy do czynienia z dwoma rodzajami naukowców? Tych, których się nie słucha, i tych, którzy oferują technologiczne panaceum na procesy, które mają u zarania przecznie nie tylko naukowe, ale i aksjologiczne wyzwania? No więc jak to jest z tym słuchaniem naukowców?*

– Do geoinżynierii i spełniania technologicznych mrzonek nie są potrzebni naukowcy, ale inżynierowie, a to spora różnica.

– *Czyli dzisiaj bardziej ceni się inżynierów niż uczonych? Coś podobnego słyszałam ostatnio z ust prezydenta Brazylii, który twierdzi, że należy wykluczyć z finansowania humanistykę, bo ta tylko generuje wywrotowe idee, że potrzebni są inżynierowie i rozwój medycyny. Z kolei w Polsce stawia się od jakiegoś czasu bardziej na nauki przyrodnicze niż na humanistyczne, ale czy to znaczy, że przyrodników też nikt nie słucha?*

– Biologia, klimatologia, przedstawiciele nauk o środowisku ostrzegający przed nadmierną eksploatacją Ziemi po prostu wielu ludziom przeszkadzają. I to zarówno politykom, jak przedstawicielom tzw. nauk stosowanych, ponieważ nie pozwalają im robić tego,

w czym są najlepsi, czyli w sprzedawaniu fałszywej nadziei. Spójrzmy choćby na wielu hydrotechników, według których przeciwdziałanie powodzi ma polegać na budowie nowych, coraz wyższych wałów i wielofunkcyjnych zbiorników. Wielokrotnie kolejne powodzie weryfikowały, na co zdaje się zabudowa hydrotechniczna, kiedy przychodzi wielka woda. Jednak takie proste idee jak XIX-wieczna hydrotechnika łatwo docierają do ludzkiej wyobraźni, bo to jest namacalne. Przyjeżdża maszyna, ryje w dnie rzeki, odkłada na bok wielkie głązy, ryczy silnikiem... Działa i ludzie widzą, że działa. Jest konkret. A naukowcy myślą systemowo, wieloaspektowo, bo nie chodzi przecież tylko o tę jedną budowlę, ale o cały system naczyń połączonych, które nas przed tą powodzią mogłyby w sumie zabezpieczyć. To jest bardzo skomplikowane i kiedy przychodzi do przekonywania zwykłych ludzi, zwycięża ten najprostszy, namacalny pomysł. Zamiast rozbudowywać retencję zlewniową, odsuwać zabudowania, zmniejszać ilość powierzchni nieprzepuszczalnych *etc.* – wysyłamy kolejną koparkę. Zawsze też można o kolejną powódź oskarżyć bobry albo ekologów.

– *A czy w związku z raportem o wymieraniu ludzi nikogo nie zainteresowało pytanie, które gatunki zwierząt czy roślin wyginą w Polsce?*

– Nie tylko nie zainteresowało, ale chyba niewiele osób to w ogóle obeszło. Szczerze mówiąc, nie mamy zbyt wielu aktualnych danych, ponieważ środki na badania terenowe czy na badania podstawowe są od wielu lat ograniczane. Również jeżeli chodzi o robienie kariery naukowej w warunkach dzisiejszego uniwersytetu – stawia się na badania przekrojowe, takie, które mogłyby zainteresować czasopisma naukowe z listy filadelfijskiej. Oznacza to, że badania dotyczące lokalnych uwarunkowań są spychane na plan dalszy, bo nie dają szansy przebicia się w ważnych czasopismach, a jak wiadomo, uniwersytety biją się o każdy punkt, czyli właśnie o publikacje na listach światowych. Wiemy natomiast, zarówno z opracowań ogólnoeuropejskich, jak i własnych, nawet pobieżnych obserwacji, że bardzo spada liczebność i różnorodność gatunkowa owadów, w tym szczególnie dla nas ważnych zapylaczy. Kiedy z rodziną sprawdził się tam, gdzie dziś mieszkamy, raptem kilka lat temu, na kwitnącym wiosną migdałowcu było mnóstwo trzmieli, pszczoł i pszczolinek... Od dwóch lat już ich prawie nie widuję.

– *Z tego, co wiem, władze Wrocławia zleciły naukowcom przygotowanie ekspertyzy dotyczą-*

cej adaptacji miasta do zmian klimatu? Możesz powiedzieć coś więcej?

– Przygotowałem dla Wrocławia założenia do strategii gospodarowania różnorodnością biologiczną, ale nie wiem, czy i jak miasto te założenia wykorzystało. Ważne jest natomiast, że sami mieszkańcy robią wiele w temacie bioróżnorodności miasta. Mamy przecież ciągle spory o Park Grabiszyński, o zakładanie łąk kwietnych, o rzadsze koszenia trawników *etc.* Miasto zaczyna coraz częściej przychylić się do tych propozycji, co jest doskonałym pomysłem, choć jak każde nowatorskie rozwiązanie – budzi poważny opór tradycyjnie nastawionej części społeczeństwa. Po tegorocznej suszy zaczyna to być już trend ogólnopolski, co napawa optymizmem.

– *Czy mimo braku dokładnych badań możesz powiedzieć, co raport o wymieraniu gatunków oznacza dla przeciętnego mieszkańca naszego kraju, który przecież codziennie musi coś pić, jeść czy oddychać?*

– To chyba nie dociera jeszcze do wyobraźni ludzi. W tej chwili wszystkim wystarczy, że mają pieniądze, a z kranu leci czysta woda. Półki z żywnością w supermarketach jeszcze się uginają. Za parę złotych można się poczuć jak mieszkaniec Tajlandii czy Brazylii, bo produkty z tych krajów są w zasięgu ręki. Dla normalnego człowieka wymieranie gatunków jest więc czystą abstrakcją, bo nie ma żadnego wpływu na jego codzienne życie. Więcej – jestem przekonany, że wiele osób cieszy się, że jest mniej owadów, ptaków, roślin, które wcześniej były dla nich tylko zawadą. Ot – weźmy komary... Czy ktoś będzie żałował komarów?

– *Ale czy nie będzie nam doskwierała samotność, w pewnym sensie nie z tej ziemi, kiedy oprócz człowieka zostaną tylko kury, świnie, krowy, koty, yorki i na deser tuje?*

– Historia człowieka to domestyfikacja środowiska i podporządkowanie sobie przyrody. Wielu ludzi nadal, tak samo jak 100 tys. lat temu, czuje lęk przed przyrodą, przed nieuporządkowanym lasem, w którym muszą przecież kryć się jakieś groźne, dzikie zwierzęta. Tylko że dziś ten lęk jest totalnie irracjonalny. I myślę, że wymieranie gatunków, zanikanie naturalnych ekosystemów to dla wielu ułatwienie. Znika źródło lęku zastąpione przez wszechobecne proste linie i sztuczne materiały. Ale to złudne bezpieczeństwo i jego poczucie szybko pryśnie. Ci sami ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że monokultura promuje gatunki inwazyjne czy też takie, które działają obosiecznie – że sami

przyczyniamy się do rozprzestrzeniania chorób, które atakują nas i zwierzęta, które hodujemy. Likwidując jedne gatunki, przyciągamy inne, które mogą w przyszłości zaszkodzić naszym uprawom i nam samym. Tylko kto się tym przejmie? Mamy przecież pestycydy, a w ostateczności – myśliwych...

– *Historia się powtarza. Na krótkowzroczność, materializm narzekano od dawna. Nieumiarkowanie, brak refleksyjności to nie tylko ubolewania mędrców starożytności. Kiedy intelektualisi przestrzegali polityków przed katastrofą państwa czy rozbiorami, ci zapatrzeni w czapkę z piór zмирzali z pieśnią na ustach na dno. Do kogo zatem skierowane są publikacje mówiące o szóstym wymieraniu? Do kogo mają trafić alarmistyczne przestrogi?*

– Raport poruszył pewnie tych, którzy już wcześniej byli zaniepokojeni, którzy doskonale wiedzą, że świat od jakiegoś czasu zmierza w bardzo złym kierunku. W skali kraju, jak myślę, to około 100–200 tys. osób. Niech ich będzie – optymistycznie założę – nawet pół miliona. To i tak mało przy 38 milionach. Tak więc ta najbardziej świadoma grupa ma najmniejszą moc przełożenia swojej wiedzy na realia polityczne.

– *Dość pesymistyczna diagnoza.*

– Realistyczna. Problem zmian klimatu czy wymierania gatunków przeciętny Kowalski odczuje dopiero wtedy, kiedy półki w hipermarketach opustoszeją, a ceny gwałtownie wzrosną. Za jakiś czas nie będzie nas stać na kawę czy kakao – zresztą już dziś niektórych nie stać na pietruszkę i krajowe truskawki.

– *Albo zabraknie ropy, aby je dowieźć?*

– *Peak oil*, osiągnięcie szczytu wydobywania ropy wieszczono od dawna i jako cały czas ropa jest, tyle że z droższych i trudniej dostępnych złóż. Rosnące koszty wydobywania (EROEI) czy transportu i tak pokrywa konsument w cenach produktu.

– *Towarów zabraknąć może również tam, gdzie transport zależy od poziomu wód w rzekach. Niski poziom Renu wielokrotnie w ostatnim czasie sparaliżował transport ropy i towarów np. do Zagłębia Ruhry czy do Nadrenii.*

– Wystarczy popatrzeć na poziom wody w Wiśle. Marzenia o drodze wodnej na tej rzece już od lat można włożyć między bajki. Banalna wręcz prawda brzmi: przyroda i życie człowieka to system naczyń połączonych. Ostrzegawcze sygnały o zachwianiu równowagi w tym systemie docierają do nas przynajmniej od 15 lat,

a od 2015 roku te sygnały wręcz wyją, krzyczą i świecą na potęgę. Tylko że zauważają je ci, którzy chcą je zauważyć.

– *Ale np. politycy, wydawaloby się, powinni być tym zainteresowani.*

– „Wydawaloby się” – ładnie sformułowane. Ale większość polityków ma wyobraźnię i wiedzę zbliżoną do wiedzy i wyobraźni swoich wyborców. Inaczej nikt by ich nie wybrał (śmiech).

– *No i dochodzi jeszcze myślenie kadencyjne.*

– A w tych kwestiach potrzeba wizji na lata. W Europie mamy akurat dobrą falę, bo Zieloni stali się ważną siłą polityczną w Parlamencie Europejskim, ale w Polsce ludzie albo nie wierzą w katastrofę klimatyczną, albo ją źle diagnozują. Zresztą nie wszystkie rozwiązania proponowane przez europejskich Zielonych wydają mi się trafne lub możliwe do realizacji.

– *Przecież nagłówki o katastrofie klimatycznej krzyczą do nas z każdej strony, ruch Extinction Rebellion zaprasza na Pogrzeb Przyszłości, młodzież protestuje pod Sejmem.*

– Ludzie nie rozumieją, że ten problem ich dotyczy. Powódź w USA czy susza w Australii? To nie jest nasza sprawa. Problemem za to staje się deszcz padający we Wrocławiu przez kilka dni, bo przecież na rowerze nie można pojeździć...

– *„Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zacinzna, byle polska wieś spokojna”?*

– Tak naprawdę większość ludzi żyje nadal mentalnie w paleolicie. Myślmy o tym, czy będziemy mieli jutro co jeść i czy sąsiednie plemię na nas nie napadnie. Wydaje nam się, że jesteśmy cywilizowani, że dawno odeszliśmy od naszych biologicznych podstaw, a tak naprawdę to tylko cieniutka warstewka pożyty. Poskrobać paznokciem i wychodzi z nas normalny organizm biologiczny, jak wszystkie inne na ziemi z kilkoma prostymi imperatywami.

– *Myślałam, że będziemy rozmawiać o samotności człowieka w świecie bez innych gatunków, o utraconej szansie przeżywania wspólnotowości międzygatunkowej, która wydaje się właśnie rodzić, a tu pospolitość skrzeczy, bo chyba wiele osób z tej samotności się cieszy – wystarczy im „mój dom, mój samochód”.*

– I grill. Grill jest niezbędny.

– *Samotność wpisana jest też chyba w nasz europejsko-amerykański indywidualizm. Niepotrzebne są nam inne gatunki, ale do ludzi też nam nieprędko.*

– Rozpadają się rodziny, słabną więzi społeczne, relacje z innymi gatunkami. Na ile nasza

polityka klimatyczna współgra z prewencją przyszłych prawdopodobnych katastrof przyrodniczych? Chyba wcale. I na to też odpowiedź podpowiada biologia. W procesie domestyfikacji jednostka załatwia coraz więcej potrzeb bez konieczności kooperacji z innymi ludźmi, na tym ten proces właśnie polega – na rosnącej bańce pozornego bezpieczeństwa.

– *A czy w sytuacji katastrofy uda nam się kooperować?*

– W dojrzałych demokracjach będzie to łatwiejsze, ale gdzie indziej ludzie po prostu podzielią się na plemiona i będą walczyć o zasoby. Zauważ, że już dziś w procesach demokratycznych społeczeństwa coraz częściej wybierają przywódców obiecujących bezpieczeństwo, nawet jeśli zapowiadają oni ograniczenie praw jednostki... Przykłady Bolsonaro czy Duterte w Filipinach są znaczące, ale i w Europie coraz więcej ludzi zaczyna zerkać w stronę niedemokratycznych czy wręcz autorytarnych systemów. Narastają tendencje izolacjonistyczne, rośnie ksenofobia. To naturalne skupianie się jednostek w plemiona w obliczu nadchodzącego zagrożenia, chociaż zupełnie błędnie to zagrożenie definiujemy. Dlatego zamiast ograniczać spalanie węgla czy loty samolotem budujemy płoty na granicy... To żałosne, bo nie ma płotu, który zatrzymałby miliard Hindusów uciekających przed suszą we własnym kraju.

– *Wiem, że to kontrowersyjne, ale czy nasze państwo nie mogłoby wejść w rolę podmiotu ograniczającego, Lewiatana doby zmian klimatu, ogłaszając np., jak niektóre kraje, stan zagrożenia klimatycznego? Mówię o swego rodzaju prewencji, w ramach której pewne działania konsumpcyjne czy transportowe zostałyby ograniczone po to, aby uniknąć katastrofy. Taki Lewiatan, w imię bezpieczeństwa, pozwałaby np. na jedzenie mięsa tylko raz w tygodniu. Wprowadziłyby pewne zakazy dotyczące stylu życia, do jakiego się przyzwyczailiśmy – indywidualnej jazdy samochodem, zabudowywania terenów zalewowych, wycinki drzew?*

– Sądzę, że taki stan wyjątkowy mógłby być wprowadzony w dojrzałych demokracjach, gdzie ludzie potrafią kooperować i mają świadomość wspólnego celu oraz wolę jego realizacji. W Polsce sobie tego nie wyobrażam. Byłby to pewnie jedyny przypadek, kiedy liberalowie i skrajna prawica protestowałyby razem na ulicach... Kiedy w 1963 roku mieliśmy epidemię ospy, bez interwencji wojska się nie obyło.

– *Wchodzimy mocno w politykę, ale jak się okazuje, bez polityki debaty o zmianach klimatu*

nie ma, choć jak powiedziałeś, na razie nie jest to temat tak eksponowany jak inne, bardziej abstrakcyjne zagrożenia, jak choćby zamachy terrorystyczne czy napaść na tradycyjne wartości.

– W Europie zielone tematy są na agendzie od czterdziestu lat, jednak nawet tu daleko do ideału, poza tym Europa nie jest wiodącą siłą na świecie. Świat dziś zależy od tego, co zrobią Chiny, Indie, USA, Brazylia. Póki Europa się naprawdę nie zjednoczy, jej głos będzie cichy i mało znaczący.

– *Mimo że nagłówki krzyczą, mało kto bierze je do serca, ale jeszcze mniej osób je rozumie. Powtarzane są hasła takie jak katastrofa ekologiczna, ale co to w ogóle znaczy? Czy zapaść ekosystemu? Jak rozumieć te nagminnie powtarzane terminy?*

– Po pierwsze katastrofa jest naturalnym elementem dynamiki przyrodniczej. Zmiany klimatu też są czymś naturalnym i zawsze na Ziemi występowały. Ale dzisiaj katastrofa klimatyczna czy zapaść ekosystemu oznacza tak szybkie nachodzenie na siebie zmian, że w efekcie zagrożone staje się życie człowieka jako gatunku. W literaturze określa się to jako *perfect storm*.

– *Katastrofa ekologiczna nie jest zatem terminem opisowym, ale raczej normatywnym? To coś, co oznacza pogorszenie warunków życia człowieka?*

– Wkrótce niektóre części Ziemi prawdopodobnie nie będą się już nadawały do życia człowieka. Będą to swego rodzaju *no go area* dla *Homo sapiens* – wszędzie tam, gdzie fale upałów będą towarzyszyły wysokiej wilgotności, przeżycie na powierzchni ziemi nie będzie możliwe. Określamy to jako problem mokrego termometru – przy pewnej wilgotności powietrza organizm stałocielny nie jest już w stanie się chłodzić – i umiera. Oczywiście możemy zbudować klimatyzowane pomieszczenia – ale czy zmieszczą się nim dziesiątki milionów ludzi? A co będzie, jeśli zabraknie prądu?

– *A załamanie ekosystemu?*

– Wolę słowo kolaps. Tak określamy w naukach przyrodniczych przejście z jednego stanu w inny, zwykle gwałtownie i skokowo. Np. głąz na szczycie góry wydaje się stabilny, ale niektóre czynniki – wiatr, woda, korzenie roślin – działają na niego, bardzo powoli, stopniowo i niezauważalnie zakłócając jego stabilność. Zmiana stanu – ze statycznego na dynamiczny – odbywa się nagle i bez ostrzeżenia, aż na dole stoku głąz znowu staje się stabilny. A że po drodze zgniecie to i owo... trudno...